

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

SAM

Dopóki nie usłyszałem, że Cole złapał Becka, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że dziś wypada „Chiński Dzień”.

Bardzo długo wierzyłem, że „Chiński Dzień” to prawdziwe święto. Każdego roku w maju tego samego dnia Urlik, Paul albo ktoś inny, kto akurat miał czas, zabierał mnie i Shelby na cały dzień świętowania – baloniki, wizyty w muzeach, jazdy testowe ekskluzywnymi samochodami, których nie zamierzaliśmy kupić, a na koniec epicki posiłek w „Fortune Garden” w Duluth. Jadłem tam tylko sajonki i ciasteczka z wróżbą, ale mimo wszystko była to moja ulubiona restauracja, bo kojarzyła mi się z dniem zabawy. Zawsze kończyliśmy z tuzinem pudełek na wynos, które potem tygodniami stały w lodówce. Wracaliśmy do domu długo po zapadnięciu zmroku, zatrzymywaliśmy się na podjeździe, a mnie trzeba było niemal zanosić na górę do łóżka, taki byłem zmęczony.

Beck nigdy z nami nie jeździł. Paul co roku miał dla niego inną wymówkę: „Musi pracować i chce mieć cały dom dla siebie” albo „Późno położył się spać”, albo „Nie obchodzi «Chińskiego Dnia»”. Nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem. Zwykle działo się mnóstwo innych rzeczy, które przykuwały moja uwagę. Prawda była taka, że byłem mały i egocentryczny, jak to dzieci, nie zastanawiałem się nad tym, co robią moi opiekunowie, kiedy nie przebywam z nimi. Łatwo mi było wyobrazić sobie Becka choćby ciężko pracującego w domowym gabinecie.

Przez lata obchodziliśmy „Chiński Dzień” jak gdyby nigdy nic. Wstawaliśmy o świcie i wyruszaliśmy z domu. Kiedy trochę dorosłem, zacząłem dostrzegać więcej szczegółów, których wcześniej nie zauważałem. Gdy wychodziliśmy, Urlik albo Paul zawsze wyłączali telefon i zamykali frontowe drzwi, jakby nikogo nie było w środku.

Gdy miałem trzynaście albo czternaście lat, nie zasypiałem już tak od razu po powrocie, choć zazwyczaj udawałem, że jestem senny, żeby móc zaszyć się w swoim pokoju z nową książką. Wykradałem się wtedy z sypialni tylko na siku, zanim w końcu naprawdę gasiłem światło. Ale któregoś roku, gdy wyszedłem z pokoju, usłyszałem hałas, który mnie zaniepokoił. Wciąż nie pamiętam, co w tym dźwięku sprawiło, że zatrzymałem się w korytarzu. Może po prostu brzmiał obco, nie na miejscu.

Po cichu minąłem łazienkę i zbliżyłem się do uchylonych drzwi sypialni Becka. Zawahałem się, nasłuchując i zerkając za siebie, żeby upewnić się, że nikt mnie nie widzi. Zrobiłem jeszcze krok i zajrzałem do środka.

Mała lampka na stoliku nocnym słabo oświetlała pokój. Na podłodze stał talerz z wciąż nietkniętą kanapką i brązowiejącymi cząstkami jabłka, a obok kubek kawy z obrzydliwym kręgiem na obrzeżach, gdzie mleko oddzieliło się od reszty napoju. Przy łóżku, na podłodze, tyłem do wejścia, siedział Beck. W jego postawie było coś szokującego, coś, czego nigdy nie zapominałem. Kolana miał przyciągnięte do piersi jak mały chłopiec, a dłonie splecione za głową, którą z kolei przyciągał do piersi, jakby chronił się przed nadchodzącym ciosem.

Nie rozumiałem, co się dzieje. I wtedy znowu usłyszałem ten cichy dźwięk, a potem zobaczyłem, jak trzęsą mu się ramiona. Nie, nie ramiona, lecz całe ciało. Usłyszałem urywany, tłumiony szloch kogoś, kto płacze już wielu godzin i oszczędza siły na kolejne.

Byłem zdumiony, że Beck kryje w sobie takie cierpienie. Nigdy o tym nie wiedziałem, nigdy bym tego nie zgadł. Później odkryłem, że to nie był jedyny sekret mojego opiekuna. Choć może był to ten najlepszy skrywany.

Zostawiłem Becka na górze z jego bólem i zszedłem na parter, żeby odnaleźć Urlika, który siedział przed telewizorem w salonie i apatycznie skakał po kanałach.

– Co mu jest? – zapytałem po prostu.

I tak dowiedziałem się o żonie Becka i o tym, że zmarła właśnie tego dnia, w maju, dziewięć lat wcześniej. Tuz zanim zostałem ugryziony. Wtedy nie połączyłem ze sobą poszczególnych faktów, a nawet jeśli, to nie było dla mnie ważne. Nie liczyło się.

Dopiero teraz nabrało znaczenia.